



TREŚĆ NUMERU:

Adam Płomińczyk W przededniu wznowienia sprawy Galicji Wschodniej.

Jan Pohoski. Lenistwo ducha. Uwagi.

Marceli Handelsman. W piątym pułku legionów.

Jan Szczęsny Mayzel. Emisarjusse.

Prace na dziś i jutro.

Pod sąd ożinji.

Reczy Różne.

W przededniu wznowienia sprawy Galicji Wschodniej.

Skutkiem podpisanych w Rydze preliminariów wypuściliśmy z rąk swoich nici, któremi wpływać mogliśmy na kształtowanie się spraw najbliższych z nami sąsiadujących narodów. Z założeniami rękami patrzeć dziś musimy na losy powstania białoruskiego w Słucku, na Bałachowicza, który szukając dla swej akcji podstaw dotknął również sprawy białoruskiej,— a wreszcie na zlikwidowanie armji powstańczej atamana Petlury.

Uznaliśmy de facto, że Białoruś jest to wewnętrzna kwestja „federacyjnej“ republiki sowieków, a również uznaliśmy Sowiecką Ukrainę, która jest niczem innym jak nazwą, określającą panowanie sowieków—i wogóle Rosji—na Ukrainie.

Ci politycy, którzy wciąż wrogo odnoszą się do polityki uznania i poparcia dążeń niepodległościowych narodów „kresowych“ — zadowoleni są z takiego obrotu sprawy. Zadowoleni są także i ci, którzy nie potrafili zdobyć się na jakiś plan polskiej polityki wobec naszych wschodnich sąsiadów, a w stosunku do postawionego planu „federacyjnego“ nie wykazali dość zrozumienia i czynnego poparcia.

Zbłądzili i jedni i drudzy,—a błąd ich mścić się będzie teraz na Polsce przez długie lata. Nie wolno bowiem wbrew oczywistości wmawiać w siebie i w drugich, że kwestja dążeń narodów kresowych do niepodległości nie istnieje,—nie wolno również, dostrzegłszy tę kwestję, zamykać oczu, by nie patrzeć na zadania zbyt jakoby trudne, które dla nas stąd wypływają. Wynikiem bowiem takiej strusiej polityki zawsze jest to tylko, że dana kwestja rozwija się dalej już poza nami, poza obrębem naszych możliwości czynnych, naszych planowań.

Polityka „federacyjna“ nie jest dowolną wyrozumowaną koncepcją, lecz wypływa z realnego układu stosunków geograficznych, narodowościowych i kulturalno-gospodarczych,—z tendencji, żyjących w narodach, o które chodzi. Dowodów na to dostarcza doświadczenie ostatnich tygodni, kiedy już nie z Polski, lecz do Polski przychodzą sprawy jedynie na drodze federacji możliwe do rozwiązania. Białoruś powstaje z orężem w ręku w powiecie Słuckim, a jednocześnie z Mińska wysyła delegację z memorjałem, podpisanym mimo konspiracyjnych wa-

runków tysiącami nazwisk, który domaga się federacyjnego rozwiązania kwestji białoruskiej; ambasador francuski odpowiadający tej delegacji, że zawsze był za tem, by na terytorjum po Dźwinę i Dniepr dać możność narodom samym stanowić o swym losie,—stwierdza że możliwości dyplomatyczne zrealizowania programu federacyjnego istniały. Litwa kowieńska, zaszachowana plebiscytem, zdradza w ostatnich dniach chęci rozwiązania sporu o Wilno na drodze federacji polsko-litewskiej.

Tendencje te napotykają na swej drodze traktat ryski, rozbijają się o niego; Polska zmuszona do bezczynności wyrzuca je poza obręb swej pracy politycznej. Rezultat może być taki, że to co miało się stać czynnikiem naszej siły, zwrócić się może obecnie przeciw nam.

Naocznych dowodów, że tak jest, dostarczy nam w czasie najbliższym kwestja ukraińska. Już dziś nie brak pod tym względem zapowiedzi.

Sprawa ukraińska ma dwie możliwe postaci — stosownie do dwóch bardzo politycznie różniących się środowisk, z których wychodzi. Sprawa Ukrainy właściwej, naddnieprzańskiej sprawa Galicji wschodniej—dwa różne przybiera oblicza w stosunku do Polski. Rusini wschodnio-galicyjscy ustosunkowują się do nas wrogo i są punktem zaczepienia dla wszelkiej wrogiej wobec nas polityki — niemieckiej, austriackiej, a obecnie i czeskiej. Ukraina Naddnieprzańska zaś—rozumiejąc, że głównym wrogiem sprawy samodzielności narodu ukraińskiego jest Rosja—dała dowody, że chce oprzeć się o Polskę i pozostać z nią w przymierzu nawet kosztem pretensyj Rusinów wschodniogalicyjskich.

U świtu niepodległości naszej mieliśmy do czynienia ze sprawą ukraińską w pierwszej, wrogiej nam postaci. Popierani przez rozkładającą się Austrię opanowali Rusini wschodniogalicyjscy rządy w Galicji, kusili się o Lwów i toczyli z nami wojnę. Pokonawszy ich, potrafiła Polska zlikwidować wojnę, wejść w kontakt z Petlurą, jako reprezentantem Ukrainy właściwej, naddnieprzańskiej, zawrzeć z nim przymierze i — uzgodniając swe cele strategiczne w wojnie z Rosją z jego celami politycznymi — poprzeć jego dążenia państwowotwórcze. Rezultatem politycznym tego współdziałania były wspólnie wydane odezwy Piłsudskiego i Petlury do ludności Ukrainy z maja r. b., oraz pierwsze kroki ku budowaniu niepodległej republiki ukraińskiej. Rezultatem strategicznym była wspólna akcja wojsk polskich i tworzących się wojsk ukraińskich, zlikwidowanie antypolsko usposobionych oddziałów wschodnio-galicyjskich „strzelców siczowych“, którzy po licznych zmianach frontu—od Petlury do Denikina

i wreszcie do bolszewików—dostali się wreszcie do niewoli — a natomiast stworzenie dzielnej armji ukraińskiej, która braterstwem broni połączona z Polakami przyczyniła się w końcu walnie do zasłonięcia Galicji wschodniej przed inwazją bolszewicką.

W czasie rokowań ryskich nie zostały wyprowadzone konsekwencje z takiego przebiegu sprawy. Petlura, zdany na losy wojny z bolszewikami, uległ przemocy — i musiał dać się rozbroić na terytorjum Polski.

Głos w sprawie ukraińskiej przeszedł więc znów do Rusinów wschodniogalicyjskich. Będzie się on rozlegał, nie neutralizowany żadnym głosem wolnym z tamtej strony Zbrucza, — będzie się rozlegał przybierając w myśl tradycji tony antypolskie.

A Rusini wschodniogalicyjscy mają nie jeden atut dyplomatyczny za sobą. Mają liczne w Europie prądy, dążące do osłabienia Polski,—mają przede wszystkim niezalatwioną dotąd formalnie sprawę Galicji wschodniej.

Słynne orzeczenie Rady Najwyższej, oddające Polsce Galicję wschodnią aż po sam prawie San w zarząd na lat 25, jest dotąd tylko zawieszona a nie zniesiona. Pamiętajmy, że była tam mowa o osobnym wschodniogalicyjskim sejmie z tak postawionymi kompetencjami, że ich rezultatem mogło być tylko zaostrzenie antagonizmów, była mowa o osobnej administracji i nawet o osobnym wojsku, była wreszcie mowa i o plebiscycie za lat 25.

Dziś, gdy sytuacja tak się składa, że w sprawie ukraińskiej jedyny głos mają tylko Rusini wschodniogalicyjscy, możliwości te mogą odżyć. Zadaniem polityki naszej jest uczynić tak, by nie tylko oni jedni głos w tej kwestji zabierali. Co do Galicji wschod. głos zabrać przede wszystkim musi Polska. Omawiana obecnie kwestja podziału Galicji wschodniej na województwa daje po temu sposobność.

Jeśli potrafimy ziemiami ukraińskimi, które znalazły się w naszych granicach, tak pogospodarować, by nie dopuścić do zakwestjonowania integralnej przynależności do państwa polskiego Lwowa i Borysławia, jeśli przytem na reszcie tego terytorjum stworzymy dla ruchu ukraińskiego Piemont na przyszłość—to zdobycz moralna sojuszu Polski z Petlurą da się jeszcze ocalić.

Bo pamiętać należy, że sprawa ukraińska już nie umrze. Troską naszą więc być winno, by rozwinięła się ona po tej linii, którą dla Polski i Europy wschodniej nakreśliła nasza myśl polityczna, po tej linii, która prowadzi do potęgi Polski i wolności narodów.

Adam Płomińczyk.

Lenistwo ducha.

Ostatnich kilka miesięcy życia polskiego obfituje w niezmiernie ciekawe falowanie nastrojów społeczeństwa i w niezwykle przeobrażenia duchowe. Zjawiska te są niezmiernie ciekawe i pouczające i dlatego nigdy o nich nie mówi się za wiele.

Spółeczność polska jest naogół bardzo przemęczona wojną a pewna jej część przesycona jest wypadkowym dobrobytem. Dlatego jedynie wielkie wypadki mają uwydatnić siłę ducha narodowego, usuwając w kąć działalność karłów duchowych, tych podjadków tężyzny narodowej.

Przeżywaliliśmy momenty niezmiernie podniosłe, byliśmy świadkami wielkiego niebezpieczeństwa, płynącego ze wschodu. Cały naród skupił wtedy swój wysiłek w jednym kierunku: nie mówię tu o tej oklepanej jedności, ale o potędze ducha, która proklamowała nasze zwycięstwo już przed rozstrzygnięciem bitwy na polach wojny. Karły wtedy umilkły, lub usadowiły się w najbardziej odległych prowincjach Polski.

Wiemy kto zwyciężył—a kto świadectwo ubóstwa duchowego wypisał sobie po wieczne czasy.

Jednak pomimo tego wyraźnego zwycięstwa naród nie rozwinął swych skrzydeł do dalszego lotu. Jakaś niewidzialna siła powstrzymała pęd naszego wielkiego ducha, stawiając mu metę, za którą dalej wznieść się nie może. Czemu właściwie mamy przypisać ten fakt, że po wspaniałych zwycięstwach odniesionych nad zewnętrznym wrogiem—bolszewikami, i wewnętrznym—opieszałością, lenistwem duchowym społeczeństwa, tą nowoczesną naszą targowicą, — nie rozwinęliśmy dalej twórczo naszego wewnętrznego życia, stanęliśmy jakby na martwym punkcie, oszołomieni dokonany czynem? Próżno byśmy szukali wyjaśnienia tego poważnego zagadnienia wyłącznie w stanie ekonomicznym naszego kraju. Tu są przyczyny wyższej natury i musimy je sobie uświadomić celem złamania panującej martwoty.

Mam wrażenie, że pod tym względem uzyskamy bardzo wymowne wyjaśnienia przyglądając się sposobowi reagowania myślącego społeczeństwa (będzie to i inteligent i chłop i robotnik) na zagadnienie pierwszorzędного znaczenia, rozstrzygane czy to przez Rząd, Sejm, Wojsko, czy wreszcie przez czynniki zewnętrzne.

Oto od kilku tygodni toczą się debata nad sprawą rozdziału Kościoła od Państwa. Dyskusja nad tą sprawą poza Sejmem jest niezmiernie słaba. Zupełnie zapominamy o naszych wspaniałych badaniach tego tematu jeszcze 400 lat temu. Jakaż olbrzymia różnica w reagowaniu ówczesnego społeczeństwa, jak ciekawa i pełna polotu jest działalność ówczesnego prymasa Uchańskiego chociaż o nim księża dziś nie lubią wspominać i wówczas ten „heretyk“, ks. Orzechowski, tylekroć wyklinany i napominany, żyjący poza prawami celibatu — staje w obronie kościoła katolickiego, zagrożonego do ostateczności przez ideę kościoła narodowego, głoszoną przez Frycza pospółu z prymasem Uchańskim. I oto pozbawiony praw i łaski ks. Orzechow-

ski stwarza nową napozór ideę, godząc króla z Rzezczypospolitą i Papieża. To słynne „Pyramis ex Quacunxa“ staje w poprzek twórczej idei religijnej Polski—obcina skrzydła gotującego się do lotu nowego ducha Polski w momencie wróżącym szczytne jego odrodzenie. Te sejmy po kilkakroć zrywane jedynie z powodu różnicy zdań między episkopatem a posłami, te namiętne dyskusje, epokowe dzieła rozstrzygające zagadnienia społeczne i religijne, wreszcie te sekty religijne—wszystko to świadczyło o niezmiernie żywym ruchu umysłowym ówczesnej Polski. Dzieje zupełnie niewspółmierne z dzisiejszą naszą dobą ślamazarności i wykwintej pobłażliwości.

Trudno dziś sądzić kim był ks. Stanisław Orzechowski, czy wielkim filozofem, czy tylko generalnym warchołem — w każdym razie jego to pomysłem należy przypisać zamknięcie Polski w ramach katolicyzmu. Może uniknęliśmy przez to srogich inkwizycji, może uniknęliśmy przejściowych bolesnych rozłamów —ale jednocześnie staliśmy się dzieckiem, którego rozwój powstrzymano sztucznymi środkami. Stuleciami potem zżywaliliśmy się z opieszałością, pozorną tolerancją, pobłażliwością i ślamazarstwem — w dziedzinie naczelných zagadnień i problemów.

Dziś, gdy napotykamy zagadnienia pierwszorzędного znaczenia pod względem państwowym, narodowym czy religijnym, przechodzimy nad niem do porządku dziennego, czytając zaledwie artykuły w tej sprawie. Nasze własne zdania chowamy po gablotkach naszych aspiracji, stojących gdzieś cicho w ciemnym kącie pokoju. Byle bez namiętnych dyskusji, byle bez bolesnego słowa prawdy, byle bez zasad, stawiających w kłopotliwe położenie otoczenie towarzysztwa—wszystko ma być gładko i składnie, pobłażliwość przedewszystkiem. I oto chodzi sobie po wszystkich komnatach naszej społeczności głupota i rehocze, aż zatykając sobie gębę dłonią od wielkiego śmiechu. To nic, że karlejemy duchowo z dnia na dzień, że pomniejszamy swój dorobek kulturalny i duchowy, że na tem tuczą się i pasą Lutosławcy, St. Grabscy, Teodorowicze, Strońscy, Zamorscy i t. p. Cicho-sza—i oto byle błotem z ulicy—oszczerstwem—obrzucani są najwięksi bohaterowie narodu, najszczytniejsze wysiłki młodzieży, a tu cierpliwość taka święta niby wzorowana na św. Franciszku z Asyżu. Właściwie dlaczego kalumijatorzy nie mają nadal posługiwać się oszczerstwami,—kiedy dotychczas zaledwie jeden ks. Lutosławski był delikatnie wyrzucony za drzwi przez jednego z generałów—zresztą o tem także cicho-sza—byle nie zagłośno. Ale niech już o tem będzie przynajmniej głośno, że te kamienie rzucane z za płota pod nogi Władzy Twórczej Polsce, jakkolwiek nie są odrzucane, to w naturalny sposób formują górę na ziemi pochyłą, i że ona pewnego poranku może runąć, zasypując i spopielając owych kalumijatorów, a może czyniąc jeszcze większe zamieszanie. To trudno, to jest żywioł!—nie trzeba piorunów prowokować...

Dziś jednak jest spokojnie, jakkolwiek nieomal każda doba przynosi nam nowe zagadnienia: czy minioną sprawę ks. Huszny, czy rozdział kościoła

od Państwa, czy sprawę Senatu, czy konieczność opieki nad żołnierzem powracającym z frontu i żołnierzem przebywającym na froncie (to ostatnie zagadnienie jest tak mało doceniane, że nawet gadaliwa i napuszona prasa o tem mało mówi), czy tolerowanie paskarzy—łącznie z tem zagadnienie ekonomiczne. O wszystkich powyższych sprawach leżących w różnych płaszczyznach znaczenia, ale mających wielką doniosłość narodową i państwową mówi się opieszale, czasem ze sztuczną namiętnością, ale nigdzie nie widać w ścieraniu się zdań poszczególnych odłamów—falującego i tętniącego życia.

Niby dziwna choroba zatacza swe kręgi—lenistwo ducha.

Wreszcie przyjrzyjmy się wydarzeniom ostatniej doby: oto ks. Kardynał Bertman w Wrocławiu wydaje orędzie do księży katolickich na Górn. Śląsku, którego treść jest głównie zwrócona przeciwko Polsce. Aprobata papieska jest tu widoczna, jak również i kardynała Rattiego. I oto biskupi polscy przybierając pozę trybunów ludu ślą do „Romy“... Izy gorzkie.

Nie wiem jak Papież nadal się zachowa—ktośkolwiek jednak chciałby w tym widzieć wyłączną winę naszego kleru z powodu jego opieszłości, tudzież naturalnej gradacji od Watykanu do Warszawy to się mocno omyli. Tu również jest winien ogół myślącego społeczeństwa polskiego; jeden powie: co mi Papież—mam Spinozę w „Gablote moich aspiracji“—drugi powie—mam Woltera, trzeci—Franciszka z Asyżu, ale wszyscy razem pospolu milczą. Ta dziwna anemja i brak tęgich zasad poszczególnych ludzi powoduje, że Polska stoi i będzie stała otworem dla wszelkich zamiarów kościoła, który ma za sobą tysiącletnie doświadczenie.

Zapominamy o tem, że tam po pokojach Watykańskich jeszcze dzisiaj zapewne ściera się echa odległych szeptów i obaw, czy aby nuncjusz Lippoman, wysyłany przez papieża Pawła IV, wspólnie

z biskupem Hozjuszem zdoła postawić tamę szerzącym się ideom Frycza z Modrzewia?

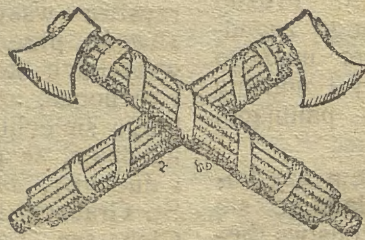
I warto o tem wspomnieć, że bezcenne skarby myśli Frycza po dziś dzień spoczywają w dziełach jego nie przetłomaczone na język polski: więc znanego pięcioksięgu, znamy tylko cztery księgi, księga piąta—o kościele, czyli o reformie kościelnej jakby zupełnie nie istniała. Czas już przetłomaczyć na język polski i rozpowszechnić całe dzieło „Commentarii de Republica emendande“, „De primatu Papae“ jak również list Frycza do Pawła IV i wreszcie inne dzieła: artykuły po dziś dzień nierozpowszechnione lub nieprzetłomaczone.

Mówiłem o Fryczu specjalnie, gdyż jestem zdania, że chcąc rozwalić panującą dziś w Polsce martwość—lenistwa ducha—musimy myślami wrócić do tej epoki, gdy myśl Polska była najbardziej państwowo twórcza i w sposób sztuczny zatrzymana w swoim locie.

W ostatnich dniach jeden ze znanych literatów pisał, że z powodu znanej sprawy sądowej o przetłomaczenie dzieła Papiniego przez redaktora „Narodu“—kler rzucił „Wyzwanie“ całemu myślącemu ogółowi polskiemu i tolerancji polskiej. — Wyzwanie to o tyle będzie przyjęte, jeżeli postępową inteligencja polska zmieni dotychczasowy zaspany tryb swego życia—jeżeli będzie pracować nad swymi zasadami i nie pozwoli bezczęścić bohaterów narodowych, okradać własność narodową i niweczyć tradycyjną tolerancję polską. Sięgnijmy po bezcenne skarby twórczej myśli polskiej. Fryczowie Modrzewscy—są stokroć niebezpieczniejsi dla kultury klerkalnej—niż rozmowy z Panem Bogiem Papiniego.

Idźmy na spotkanie zmaganiom się duchowym indywidualności w Polsce, a usuniemy panującą dziś martwość, odzyskamy tętniące życie, jak czasu wielkich działań wojennych—dni sierpniowych.

Jan Pohoski.



U W A G I.

Dość szantażów!

Szantaż ze strony bolszewików, zapoczątkowany przerwaniem rokowań dnia 19 b. m. trwa w dalszym ciągu. Nowym jego objawem jest niesłychana odpowiedź rządu sowieckiego na notę ministra Sapiehy.

Ze nota owa wysłana była z pominięciem delegacji pokojowej—uzna to każdy za błąd, ale była ona potrzebna—i potrzebne są w dalszym ciągu kroki zdecydowane, by przyprowadzić bolszewików do opamiętania i położyć kres ich prowokacjom.

Nadesłana świeżo ich odpowiedź mówi o „krzyżujących“ pogwałceniach rozejmu przez Polskę.

Zbyt jesteście cierpliwi, zaprawdę, w wysłuchiwaniu tego rodzaju zdań. Od chwili ratyfikacji traktatu Polska lojalnie stosuje się do zawartych w nim klausul,—co czyniła do tego czasu—czy uzbrajała Petlurę i Bałachowicza, czy nie—to panów z Kremla nic nie powinno obchodzić. Powinno ich zato trochę więcej obchodzić ich własne postępowanie—i zadaniem jest rządu i delegacji ryskiej przypomnieć im to wyraźnie—znacznie wyraźniej, niż czyniły to

dotąd. Bo niczem innym tylko bezprzykładną prowokacją jest utrzymywanie dotąd w Moskwie rządu sowieckiego dla Polski, złożonego z pp. Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, Unslichta i Pruchniaka, niczem innym tylko prowokacją jest trąbienie po całej Europie tego, że Rosja gotuje na wiosnę nową ofensywę przeciw Polsce.

Jeśli panowie Cziczerin i Joffe myślą, że takty-

ką swoją kogokolwiek zastraszą—to mylą się, a rzeczą rządu jest pokazać im to naocznie. Polska przetrwała w połowie swą pracę dziejową na wschodzie, na każdym kroku ukazują się dziś te możliwości, którym na zawadzie stanął traktat ryski. Niechże więc Rosja nie prowokuje i nie reklamuje przed światem swej gotowości do wojny. Bo wojna jeśli w czym—to w Polski leży interesie.



ZOŁNIERZ POLSKI

W piątym pułku legjonów.

Nasi przeciwnicy.

II.

Pod Kuźnicą, Augustowem czy Sejnam, w Lidzkiem, Nowogródzkim lub nawet Mińskim mieliśmy do czynienia z ludnością zycziwą, choć obcą, białoruską lub własną, nieraz po bohatersku oddaną, jak zwłaszcza na pograniczu litewskim, i po miasteczkach. Ludność „nieprzyjacielską” poznaliśmy na poł. wschód od Sejn w kierunku Druskienik i na wschód od Niemna mniej więcej poza Szumy.

Ludność nieprzyjacielska — to jednak nie jest właściwe określenie, raczej ludność mówiąca językiem niezrozumiałym, językiem nieprzyjaciela, w obliczu którego znaleźliśmy się całkiem i dla niego i dla nas niespodzianie na brzegu Czarnej Hańczy.

Manewrującemu w ciągu długich godzin wzdłuż nieprzebranych lasów, pokrywających jedną zwartą masą całą przestrzeń na obu brzegach Niemna, przedzierającemu się przez gęstwinę drzew, które schodzą wprost nad przepyszne jeziora, mimo woli nasuwało się porównanie, narzucało sformułowanie, które kiedyś powstało w myśli mojej po zwiedzeniu Muzeum Czaroryskich. „Jakże bogatą jest i ta kultura polska, i ta ziemia polska, jeżeli po przejściu tych wszystkich, którzy ją trzebili od wieku, pozostało tyle wspaniałości.”

Wsie litewskie, położone na tym pograniczu polskim i białoruskim, nawet od właściwego rdze-

nia litewskiego oderwane, raczej wyspy, czy forpoczty litewskie, w obcym leżące środowisku, toną w sędziwych, a mocnych lasach. Nasuwają się wspomnienia mickiewiczowskie:

Drzewa moje ojczyste, jeśli niebo zdarzy

Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy —

Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

Utopione w gęstwinie leśnej, oderwane od macierzy litewskiej, przejście od Litwy właściwej do Polski, są owe ukraińskie wsie i w typie swoim i w charakterze ludności przez to bardziej może litewskie niż sama Litwa, cecha, która w sposób podobny wyróżnia wszelkie kresowe wsie polskie ich ostro zarysowaną, jaskrawą polskością.

Mroczne długie wsie, zagęszczone, ciągnące się podwójnym szeregiem zapadających się omszałych chałup wzdłuż biegnącej przez nie drogi, stare krzyże, napół spróchniałe, ule za ulami — oto zewnętrzne wrażenie. Czasem podwórza rozjaśnione świeżymi lśnięciami kwiatami, czasem nowa chałupa — jasna plama na zwykłym tle widoku wsi litewskiej. Mężczyzn mało, prawie ich nie widać. Drzwi chałup i wrota stodół szczelnie zamknięte: czuć za nimi ukryte życie, zamknięte, odwracające się od maszerujących wojsk. Zrzadka tylko przesunie się między domami cicha postać kobieca, która na wszelkie pytania ma jedno stereotypowe: „ne supranto”.

A jeżeli zajrzesz do chałupy, jeżeli znajdziesz w niej mieszkańców, jeżeli zagadasz po ludzku, poprosisz o chleb, o mleko, o wodę nawet, spojrzają

na ciebie z podelba nieufne oczy, jedyne jasne plamy na brudnym tle wnętrza i niesłuchanie brudnej twarzy i padną te same słowa: „nie rozumiem“.

Chytry i niechętny chłop litewski zamknął się w zbroi swego języka, osłonił puklerzem rzeczywistej czy udanej nieznajomości polszczyzny i z całą konsekwencją jak gdyby na rozkaz wszędzie uprawiał ten system oporu biernego. Nie można się dowiedzieć nazwy wsi, nie można wydobyć odległości, nie można rozgadać się. Z rzadka tylko, opierając się, odpowiadał chłop, kobiety zawsze milczały, zacisnąwszy usta, z których niedawno jeszcze wylatywało napewno jakieś przekleństwo w naszą wymierzone stronę. Nie ustrzegł się Litwin obowiązku podwód, nie uniknął konieczności przeprowadzenia oddziału, który tego od niego zażądał, czynił to jednak z takim wyrazem twarzy, z taką zaciętością w oczach i ustach, że choć nic nie mówił, nie trudno było wyczuć, co myślał.

Czy jednak był po stronie Litwy, czy zdawał sobie sprawę, skąd się wzięła wojna i o co się toczy, czy pojmował choćby z gruba istotę zatargu, trudno odpowiedzieć. To pewna, że z całą jaskrawością ujmował tragizm sytuacji, który walką bratobójczą rozerwał nagle na dwa wrogie obozy—dwa narody, odwiecznie ze sobą związane. Pamiętną mi będzie rozmowa z chłopem litewskim w Ogrodnikach. Mówił mi, że on mieszka tu w Ogrodnikach, a jego szwagier tam w Bereźnikach, tu jest, mówił, teraz Litwa, a tam Polska. Dawniej to było jedno, a teraz między Bereźnikami i Ogrodnikami ciągnie się granica; jest wojna. Czy to tak być powinno, czy to nie do jednego kościoła chodzimy, czy to nie jest klęską, że bracia są podzieleni i walczą?

Myśmy zresztą w kraju tym z Litwą nie walczyli, walka miała się rozegrać na ziemi czysto polskiej, do której Litwini rościli sobie pretensje. Bój o defilé między jeziorami Geret i Pomorze, zdobycie szosy prowadzącej przez wieś Giby i pośpieszny marsz na Sejny, gdzie zeszły się dwie grupy Knoll-Kownackiego i Popowicza, zamykające w saku rozbitą i pod wieczór zupełnie już zdemoralizowaną znaczną grupę litewską i biorące kilka tysięcy jeńców, z artylerją ciężką i połową, oto jedyna krótkka, a decydująca bitwa, w której mieliśmy poznać Litwinów. Jeszcze pod Kuźnicą słyszeliśmy, że Litwini są w Lipsku, że podobno są w Grodnie i że tam działają, jako sojusznicy bolszewików. Jeńcy bolszewiczcy opowiadali o nich często sprzecznie i rozmaicie. Pierwsze zetknięcie z nimi nastąpiło 19 września¹⁾, od chwili oparcia się naszego o Czarną Hańczę. Słyszeliśmy, że są podobno doskonale uzbrojeni, że mają aeroplany, samochody pancerne, że czynią wywiady. Zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności: konie, tabory, artylerja zostały pochowane w lasach, ludzie rozstawieni tak, by uniknąć obserwacji. Niezbyt głębokie wywiady nasze pozwoliły określić ich pozycje pod Gibami i wyznaczyć ich system obrony. Placówki były wszędzie rozstawiane, bardzo czujne i mocno nerwowe. Linje obronne, okopy były przeciągnięte i obsadzone. Czujność i nerwowość i tu były widoczne. Zaczęły dochodzić głosy, że okopy ich są gruntownie przygotowane, że są otoczone drutem kolczastym według

systemu wielkiej wojny i że nawet mają druty z elektrycznością przez nie przepływającą.

W walce i po walce przekonaliśmy się o słuszności częściowej otrzymanych informacji. Manifestacyjny atak z naszej strony miał być dokonany w samo południe 22 września¹⁾, wprost na defilé od szosy; po obu stronach jeziora i poza jeziorami dalej na prawo i na lewo posuwały się spychające nieustannie wroga większe oddziały nasze. Zasłonięci wysuniętymi naprzód placówkami, wysuwaniem o jakie dwie wiorsty, które ściągnięto, Litwini ukryci byli za rowami, z głębokimi przejściami i ziemiankami na karabiny maszynowe, które otaczały płoty z drutu kolczastego. Rów ciągnął się w poprzek całego przejścia, zaczynając się na lewo nad samym jeziorem Geret. Za rowem jako najbliższe ubezpieczenie ciągnęły się mury cmentarza, na którym również wykopane były umocnienia osłonięte dla karabinów maszynowych. Za pierwszą linją szła na wzgórzach druga linja rowów, analogicznie zbudowana.

Podchodzących Litwini w pierwszej chwili nie dostrzegli. Podsuwające się oddziały nasze zdradziła dopiero ucieczka kobiet, pracujących w polu przed wsią, które widząc jakiś ruch na szosie z krzykiem porzuciły robotę. Momentalnie rozpoczął się ostry i celny ogień krzyżowy z karabinów maszynowych, wymierzony na 11 komp. 5 p. p. Leg., która w tym miejscu na wprost atakowała. Za karabinami maszynowymi poszły zwykle karabiny, po chwili odezwały się armaty litewskie. Zaczęto ostrzeliwać szosę, mierząc zdaleka, obrzucając szrapnelami nie tyle najbliższe atakujące fale, ile raczej waląc w drogę, po której, jak się słusznie spodziewali, posuwać się musiały posiłki dla atakujących. Strzelali celnie, trafiając wprost w drogę, choć nie w grupy, które szły szosą.

Ustawiona z prawej strony, od Zelwy artylerja nasza poczęła ostro odpowiadać. Po obu skrzydłach baony I i II/5 p.p. Leg. posuwały się naprzód. Atakująca kompanja z wielkimi stratami swemi łamała w tyraljerze przeciwnika, zdobywając po dłuższym boju pierwszą linję obronną Litwinów, biorąc paręset jeńców i zmuszając do odwrotu przeciwnika, który cofając się jeszcze strzelał szrapnelami poza Giby na szosę, którący iść musiały tabory nasze. Po przełamaniu rozpoczął się pościg. W Sejnach zetknięcie się wszystkie walczące pułki, zaczęło się sprowadzanie jeńców, trwające do późna w nocy, które dało łup kilkutyśięczny.

Pierwszych kilkunastu jeńców mieliśmy jeszcze podczas wypadów nad Czarną Hańczę, teraz liczba ich wzrosła. Wygląd zewnętrzny i wrażenie ogólne było jednakowe i wtedy i teraz. Doskonale umundurowany, świeżutki, kompletnie wyposażony żołnierz miał dobrą minę i pewną nawet hardość w noszeniu się, wyglądzie i sposobie odpowiadania. Większość mówiła po polsku, niektórzy po polsku nie rozumieli, a byli i tacy, którzy udawali, że znają tylko swój język litewski. Badani dawali wyjaśnienia z godnością, bez owej unizoności i upodlenia, tak charakterystycznego dla bolszewików, których byli prawdziwym kontrastem. Nie byli rozbici moralnie, byli zwyciężeni i dość obojętni na los, który ich czekał,

¹⁾ O tym, że rokowania z Litwinami z ich winy zostały 18-go zerwane nie wiedzieliśmy oczywiście, patrz nasza Księgę amarantową 1920, 78 protokół konferencji 18 września i deklaracja delegacji polskiej, aneks II s. 79—80.

¹⁾ Patrz tamże, 85 Nr 51—notą rządu polskiego do Ligi narodów 21 września i telegram ks. Sapiehy do min. Purickisa, 22 września 86 Nr 53: „nos autorités militaires ont décidé de prendre des mesures efficaces“.

Przeważnie chłopcy bardzo młodzi spokojnie przyjmowali wszystko, co ich spotykało, nie okazując ani strachu, ani nienawiści, po prostu przystosowywali się do zmienionej sytuacji.

Zapytywałem po bitwie oficerów naszych o ich opinię co do armii litewskiej. Prawie wszyscy zgadzali się na jedno. Wojsko litewskie, mające z resztą u siebie według naszych informacji conajmniej 40% Polaków, i z poborowych i ze zmobilizowanych dawniejszych żołnierzy, z wielu swych właściwości było do naszego zbliżone. Uzbrojone doskonale i kompletnie przyodżiane w mundury angielsko-amerykańskie nawet pod względem wyglądu zewnętrznego mało różniło się od naszego: żółty lampas na czapce upodabniał ich do naszej kawalerji, jedyna różnica — to na miejscu orzelka kokarda z pogonią litewską.—Dobrze wyćwiczone, wydyscyplinowane wojsko to składało się z żywiołu równego i moralnie solidnego, a z żołnierza młodego nie tylko wiekiem. Jako wojsko młode posiadało wszystkie wady tego rodzaju formacji. Nerwowe—dawało się łatwo peszyć: nadmierna czujność i wrażliwość były źródłem łatwych alarmów, wpędzały żołnierzy w nastroje, których opanowywać ono jeszcze nie umiało. W zasadzie odważne i pewne, nie było jeszcze w stanie stawić czoła zwłaszcza świetnym naszym pułkom legionowym. Choć po rozbiciu uległo demoralizacji i zaczęło się rozpraszać na części, nie mające między sobą czucia, a zatem poddające się łatwo, było zdaniem wszystkich materiałem na doskonałego żołnierza.

Kłęska jednak zrobiła swoje. Przed Druskienikami, a zwłaszcza za Niemnem zaczęliśmy spotykać oddziały, zupełnie rozsypane, błądzące po lasach i poszukujące takich jednostek u nas, któreby wzięły ich do niewoli. Przypominały się chwile z czasów kłęski bolszewickiej, kiedy to do jednego z telefonistów zgłosiło się kilkunastu wygłodniałych bolszewików na drodze, prosząc „barin, woźmi w plen”. Jeden z naszych oddziałów łączności odbity od pułku, a liczący 18 żołnierzy, wziął wtedy gdzieś w lesie po wymianie strzałów, obsługę karabinu maszynowego litewskiego wraz z maszynką i przyprowadził za swoim taborem. Zaczęli się zjawiać żołnie-

rze litewscy, mówiąc, że ich własni oficerowie kazali im się poddawać, uprzednio rozpuściwszy ich pułk. Okazało się później, że ci sami oficerowie wraz z częścią swoich żołnierzy oddali się naszemu oddziałowi a następnie wraz z nim walczyli przeciwko swoim sojusznikom — bolszewikom, z którymi mieli iść razem.

Stanowisko tych oficerów, ich stosunek do swego dowództwa i do samej wojny polsko-litewskiej jest bardzo charakterystyczny. Polacy, którzy służyli w wojsku rosyjskim, zostali rozkazem mobilizacyjnym włączeni do armji litewskiej. W polu sprawiali się dzielnie. Z chwilą rozbicia wojska pod Sejnami byli przekonani, iż przestała istnieć cała armja litewska. Uważali wszelkie dalsze ofiary za zbyteczne. Twierdzili i zapewniali, że znaczna część oficerów litewskich Litwinów jest przeciwna wojnie z Polską. Z sytuacji politycznej na Litwie nie zdawali sobie zupełnie sprawy. Z klęski litewskiej wyprowadzali daleko idące wnioski polityczne: w ich mniemaniu, skutkiem bitwy pod Sejnami miała być zasadnicza zmiana systemu, powołanie do dowództwa ludzi od władzy obecnie usuniętych i oderwanie się Litwinów od sojuszu bolszewickiego. Wierzyli w rychłe porozumienie z Polską a obawiali się, że wojska nasze pójdą na Kowno, twierdząc, że z ich strony nie może być mowy o oporze, o obronie Kowna, lub Wilna, które niedawno przed tym zajęły ich wojska. Podobno większość korpusu oficerskiego stanowią ludzie, którzy z narodowością litewską mieli niewiele wspólnego, Polacy lub Rosjanie.

Słyszeliśmy od ludności w Gibach, że Niemcy mieli przyjechać w samochodach na inspekcję okopów litewskich. Oficerowie-jeńcy jednakże przeciwko obecności Niemców w wojsku protestowali i twierdzili, że udział ich ograniczał się do początkowej fazy instruowania tworzącego się wojska litewskiego.

Czy to w poczuciu wspólności narodowej, czy też w poczuciu równości osobistej oficerowie litewscy zachowywali się w niewoli zgola inaczej, niż dowódcy bolszewicy, i całkiem też inaczej od tamtych byli u nas traktowani.

Marceli Handelsman.



EMISARJUSZE. *)

..... Spierali się z sobą długo, czy iść razem, czy każdy z osobna. Jeszcze w drodze, w długim marszu w mróz po planicie kolejowym Zyglar ponawiał swoje objeKCje, doradzał rozstanie.

— Chyba, że nie chcecie iść ze mną—niecierpliwł się Drohojowski.

— Rzecz prosta, że nie chcę.

Rozstawali się tedy na krótką metę, by spotkać po chwili znowu i iść razem marszem w nogę.

Mzył drobny śnieg. Druty telegraficzne jęczały swoją szklaną, rozbitą pieśń...

Spotykali po drodze nieliczne garstki uchodź-

*) Urywek niniejszy stanowi fregment powieści p. t. „Za frontem”. Rzecz odbywa się za czasów mobilizacji P. O. W. w 1918 r., kiedy Komenda Główna tej organizacji w uznaniu konieczności kontynuowania pracy i utrzymania nadal kontaktu z ekspozyturami swojemi na kresach Rzplitej—

ców, jakieś pochylone, zbite, strwożone postaci ludzi, wracających do opuszczonych sadyb, lub szukających w Polsce chleba i pracy. Szli boso, wychudzeni, wynędzniali—mężczyźni w oberwanych rosyjskich płaszczach—kobiety w letnich perkalikowych spódnicach, drżące z zimna, tulące się w lachmany chust.

Pierwszym pytaniem wszystkich było: „gdzie bielye” i czy miasto przez nich zajęte, czy nie ucierpiało, drugim,—czy jest chleb i jak tanio można go nabyć. Następowały inne, obojętniejszej treści o stosunki po tamtej stronie, oraz, zdumienia pełne, badawcze spojrzenia, że ich puszczone, że „tam” idą, a razem z tym przestrogi, czasami namowy serdeczne, by zawrócili. W pytaniach owych znajdowały wyraz doskonały wszystkie tęsknoty tych ludzi, wyzutyh przez wojnę z wszystkiego, prócz jednego jedyne go pragnienia spokoju, dachu nad głową, kawałka chleba.

Nie wdając się w dłuższą rozmowę krótkimi słowy zbywali tę ich ciekawość, indagując ze swej strony: „gdzie są, daleko-li krasnyje”. Wiadomości były najsprzeczniesze, jedni twierdzili, że tuż-tuż, drudzy, że za pięć wiorst, inni, że do samego Mińska ani jednego nie spotkasz.

Mijali już dwudziestopięciowiorstowy ślup, gdy nagle milczący dzisiaj od rana Drohojowski—szepnął:

— Trzymajcie się, nie denerwujcie się Jasiek. Pierwszy raz mówił doń w ten sposób.

— Niby dlaczego mam się denerwować — Stasiek? odparł mu tym samym tonem.

Zamiast odpowiedzi wskazał mu głową daleko przed siebie.

Zygler wpił we wskazany kierunek wzrok, zażalony mrozem i nie od razu dostrzegł.

Bolszewicy?

Przed samym zetknięciem, do którego twardym wysiłkiem woli, przyspieszonymi marszami dążył już dziesięć dni—pierwszy raz to wypowiedziane przezeń i realizujące się już niechybnie słowo „bolszewicy”—zadźwięczało mu dzisiaj w duszy złowrogo, coś jak szept straszliwy w dzieciństwie zasłyszany: „szakale, wilki”...

Idąc za radą Stacha usiłował się nie denerwować i uzbroid w należyły spokój i pewność siebie, od których zależało wszak wszystko, nie tylko życie Stacha i jego, ale sprawa.

Spojrzał na pogodną jak zwykle, zuchowatą twarz kolegi i wielkim napięciem woli zmógł się w sobie, stłamsił w garści rozstrajkotane, babskie nerwy, polknął jakąś głupią, przebrzydłą ślinę nieświadomionego lęku i żeby sobie dodać otuchy rzucił brawurowo:

— No—przecież—nareszcie!

Jakoż niebawem ujrzał ich—tych bolszewików, których imię bezwątpienia było dziś najpopularniejsze w świecie, wymawiane głośno ze zgrozą, strachem i nienawiścią przez jednych, rzadziej i po cichu z zachwytem i uznaniem bałwochwalczym przez drugich.

W odległości kilkudziesięciu kroków stało ich

wysyłała na ochotnika członków swoich za linję bojowego frontu.

„Emisarjusze” — to właśnie jeden z takich epizodów służby za frontem żołnierzy naszych, z których jeden ułan Drohojowski, jako zbolszewiczały, zbiegły z niewoli niemieckiej jeńiec, — wraz z ucharakteryzowanym na żyda kolegą swym Zyglarem udając się na Białoruś z misją uświadamiania ideowego i ubojwienia żywiołu polskiego — zostają po drodze zaaresztowani przez bolszewików.

czterech. Ogromne, jaskrawo-czerwone kokardy, wpięte w pierś z daleka raziły oczy,

Postąpili jeszcze kilkanaście kroków, gdy z grupki wysunął się jeden i postępując w ich kierunku, wyciągnął obie dłonie na wysokość twarzy:

„Stój”.

Posłusznie zadość uczynili wezwaniu. Czerwoni podeszli do nich, otoczyli kołem. Byli w zwykłych płaszczach i „rubaszkach” rosyjskich, niektórzy nosili na czapkach lub papachach godło pracującego ludu — skrzyżowany pług z motyką, lub czerwoną gwiazdą.

Ten co ich zatrzymał, snadź starszy, wyróżniał się od innych cokolwiek większą kokardą i przewieszoną przez ramię małą lornetkę teatralną, którą z powagą wytrawnego fachowca, szefa sztabu, czy dowódcy armji — lustrował nieprzerwanie nawet w toku badań, tereny nieprzyjacielskie. Był to młody, dziobaty, ale dość ujmującej powierzchowności chłop—lat najwyżej dwudziestu.

Przeglądali dość pobieżnie okazane na żądanie dokumenty, zadawali niezbędne w tych wypadkach pytania. Jakież było jednak zdumienie Zyglera, gdy uzbrojony w lornetkę młodzik, zapytawszy Drohojowskiego, czy jest Polakiem i otrzymawszy odeń odpowiedź—jął jakby ucieszony mówić z nimi najczystsza, potrącającą trochę Powiślem polszczyzną. W tok rozmowy z widoczną satysfakcją wplatał wyuczone utarte komunały partyjne, całe, rze kłbyś żywcem wyrwane tyrady z komunistycznej literatury przeznaczonej dla Polski.

Napewno jakiś Bartek z pod Warszawy—uświadamiał sobie Zyglar swoje bezpośrednie wrażenie, jakie odniósł od razu z pierwszego wejrzenia na tego człowieka. Dwuch pozostałych także okazało się Polakami. Tylko jeden w pasapase, z ubioru i obejścia uderzająco zresztą przypominający Stacha—był Wielkorussem.

Potoczyła się rozmowa, zdawało się prosta i swobodna, jak między swemi. Zyglar bez specjalnego wysiłku doskonale wywiązywał się z swej roli. Robił z siebie chorego, prześladowanego żydka. Opowiedział z dodatkami i w odpowiednim oświetleniu wczorajszą historję w dywizjonie, mówił, że bieli chcieli go rozstrzelać za sprzyjanie towarzyszom, że uciekł w nocy z więzienia i t. p.

Wierzone mu najzupełniej i co gorsza objawami szczerego współczucia wprawiano w rzetelne zakłopotanie.

Posypały się pytania natury wojskowej — o rodzaj, liczebności i dylokacji wojsk polskich.

Tutaj Drohojowski dał folgę swojej wymowie i wrodzonej, jak mówił, nienawiści do „kanalji burżuazyjnej”; z drobiazgową ścisłością opowiadał niestworzone historje o sile i zaopatrzeniu technicznym idących armji, o parkach lotniczych, samochodowych, artyleryjnych, oddziałach czołgów, bazach amunicyjnych i prowiantowych. W opowiadanie niby szczególnie drugorzędne wplatał wiadomości o pospolitym ruszeniu w Polsce, o świętej wojnie i posiłkach przybywających z Francji, Anglii, ba z Ameryki nawet—wszystko skrzętnie notowane przez prowodyra Bartków.

— Daleko są stąd? pytał lornetując zawzięcie okolicę.

— Będzie ośm, może dziesięć wiorst, jak kręcą się ich patrole konne—dobrzy jeźdźcy...

— W Baranowiczach — siła ich?

— Ii—nie tak wielu znowu. Wczoraj wkroczył

pułk kawalerji, w nocy znowu jakiś pułk piechoty—legionery — bitne sztuki cholera; mówili dzisiaj w mieście, zniżył tajemniczo głos, że siła artylerji ciężkiej wali...

— Ciężkiej—mówicie—notował skwapliwie, do czegoż im, psia ich mać, ciężka?...

— Mówili, że idą na Mińsk!

— Ho, ho—zobaczmy jeszcze, oni do Mińska, czy my do Warszawy—brawurował, usiłując pokryć zmieszanie, wywołane temi hijobowemi wieściami—teraz my rozpoczynamy naszą ofensywę — damy w skórę tym psubratom, zapamiętają paniczki do dziesiątego pokolenia, odechce się im iść przeciwko uzbrojonej woli zjednoczonego proletariatu całego świata!

Skoro temat się wyczerpał—wskazał im drogę, którą należy iść do najbliższej stacji kolejowej.

— Od stacji pójdą towarzysze w prawo — tam u komendanta Malinowskiego otrzymacie propusk do samego Mińska.

— A teraz, przyłożył rękę do czapki — możecie iść — dowidzenia.

— Dowidzenia.

Drohojowski łobuzersko śmiał się w kulak.

— Inteligentne roże — a tom ich nabral!

— Jestem zachwycony, no, ale nie mówcie hop — dopiero początek.

— Jaki początek?—kuniec — dziś jeszcze będziemy w Mińsku.

— Daj Boże!

Posypał się znowu drobny śnieżek i druty telegraficzne jęczały przeciągle swoją szklaną, rozbitą pieśń.

— Idziemy razem?—pytał Zygler, nie dzielający mimo wszystko optymizmu Stacha i nie mogący wciąż oprzeć się obawie, że może skompromitować tego najlepszego już druha.

Tere-fere — drwił zeń, upojony powodzeniem, wywijając obertasa.

Dotarli do stacji. I tu w myśl proroctw Drohojowskiego odbyło się wszystko pomyślnie. W stojącej odludnie, przeraźliwie brudnej chałupie—klecie, zbitej z kilku nieoblupanych z kory, cienkich jak karty belek, przez które poświstując wpadał wiatr i lodem w szparach się ścinał syjący na dobre śnieg—jakaś stuletnia, bezzębna, na wpeł goła czarownica-kostucha warzyła im „czaj“ w oryginalnym, specjalnie do tego celu służącym, żelaznym tyglu, którego górną część stanowił właściwy imbryk, dolną — palnik, nagrzewany drzewem.

Parzyli sobie usta i żołądki tym gryzącym, zadymionym płynem, cuchnącym wonią od nigdy nie czyszczonego naczynia.

Jakieś szare, podejrżane żydowskie figury wchodziły do tej jak zmora senna odrażającej nory, zamieniały szeptem w żargonie kilka słów z straszliwą, jak widomy znak nędzy wiedźmą—gospodynią,

patrzyły przenikliwie choremi, brudnymi jak flegma oczyma na nieznanych przybyszów, giestykutowały i sunąc czającymi ruchy, wychodziły w pole, trzaskając drzwiami.

Nie było co tu robić. Z odrazą wetknęli babie w dłoń kilka papierków i wyszli.

Na zrujnowanej stacji, sterczącej długą, centkowaną jak w wrzody czerwonymi cegłami — szyją komina—w puściuteńkiej na obraz zniszczenia sali—spało po kątach na ziemi kilku ludzi—kilka zwinionych, martwych, zdawało się tobołów, zaszytych w baranice kozuchów. Przez wielkie, puste, wybite ramy okienne wpadał wicher, mróz, śnieg i pustka. Transport do Mińska miał odejść dopiero w nocy. I tu więc nie mieli co robić. Postanowili iść kilka wiorst do miasteczka posilić się, i stamtąd już ruszyć koleją. Przeszli bokiem wieś i skierowali się w pole, równoległe do szosy.

Stuletni ucisk i niewola, złościąc ślady w duszach tego ludu — zaciążył również fatalnie na krajobrazie, skądinąd tak swoiście polskim.

Pustosząc się w dal bezkresną, ściętą mrozem, białą syjącego wciąż śniegu, jakby dalsza jeszcze, okrutniejsza, dziksza. Mróz lodowemi, przezroczytymi taflami nawisły w skrzepłym, zdawało się, w stałe ciało powietrza, nędza rozrzuconych samotnie w olbrzymiej przestrzeni kilku siedlisk ludzkich, martwych i wyzutych z wszelkiego życia, skamlałych jak psy bezpańskie szklanemi oczami okien o łaskę jednego choćby drzewa, już nie na opał dla ciała, ale potrzebę głębszą stokroć — na ciepło dla duszy, sterczący wśród rumowisk, jak symbol, szkielet ogromnego komina — wszystko to wionęło syberyjskim ziębem, zdawało się być upostaciowanym duchem Rosji—tej starej, już umarłej, białego cara—i tejwś półczesnej, niezmienionej, drgającej w oparach i czerwonych konwulsjach krwi Rosji krasnych carów.

Idący odludziem tym chłopcy, niespełna kilka godzin drogi od swych stron rodzinnych—sposępniali. Jak ptaki zbłąkane uleciały dusze daleko—dziesiątki wiorst stąd—na zachód. Wyrósł przed oczyma ich krajobraz wsi, ciepłym ramieniem sadów wiśniowych, jak uczuciem otulony, Grusze kędyś ciche po miedzach pól tam i sam siedzące. Zwidziały się w krzyku nagłym tęsknoty ogromne bocianie gniazda, opuszczone zimą na wierzchołkach topoli, jak słodka pociecha, nadzieja i ciągle memento wiosny, czułym okiem o każdej doli witane przez gospodarza. Zapachy jak westchnienia ojców balsamem idące z pól, mgły, jak zwierzenia najczulsze ziemicy cieplej... Polska!

W bólu dusze ich młodzieńcze poczuły nagle uczucie nowe, przejmujące, nieznane dotąd zgoła, a tak wrodzone, nieodłączne ich nacji, ścigające ją het za góry, rzeki i styksowe wody—poczuły dzieci nieodrodne wielkich ukochań: nostalgję.

(c. d. n.)

Jan Szczęsny Mayzel.



P R A C E

na dziś i jutro.

Górnoślązacy w Ameryce.

Polska zaszachowana została w sposób nieoczekiwany przypadkowo jakby pomieszczoną w traktacie wersalskim klauzulą, że w plebiscycie Górnośląskim brać mają udział wszyscy na Górnym Śląsku urodzeni. Pod tą kategorię podciąga się obecnie ogromną emigrację z G. Śląska do Niemiec, emigrację, złożoną z ludzi po największej części z krajem tym nie mających nic wspólnego, którzy albo raz na zawsze stamtąd wyemigrowali, albo urodzili się tam w czasie chwilowego pobytu rodziców za doraźnym zarobkiem w tym przemysłowym kraju. Ta emigracja, której liczebność dochodzi do połowy niemal zaludnienia Śląska może zadecydować o plebiscycie.

Jest jednak inna jeszcze emigracja górnośląska. Znajduje się ona w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Znawcy polonji amerykańskiej wie-

dzą, że np. kolonie polskie w stanie Teksas w większości złożone są z górnoślązaków; wielu Polaków w Chicago również pochodzi z G. Śląska. Są to wszystko chłopi i robotnicy, których z kraju ojczystego wyrzucił ucisk ekonomiczny baronów i fabrykantów niemieckich. W razie zmiany stosunków na Śląsku wielu z nich wracałoby do kraju; dość dziś powszechny wśród Polaków amerykańskich prąd reemigracyjny, objąłby w takim wypadku przedewszystkiem Polaków ze Śląska.

Otóż, jeśli już do plebiscytu wciągani mają być emigranci, nie wolno pominąć i tych również, którzy z ziemią swą macierzystą silniej o wiele są związani, niż ci, którzy żyją dziś w Prusach, Westfalji lub Nadrenji.

Dyplomacja polska milczy o nich i zdaje się nic o nich nie wiedzieć, ale czas chyba najwyższy zerwać z tą bezradnością. Nie znamy dokładnych dat, ale przy sprawności i energii w postawieniu tej kwestji możnaby jeszcze na czas sporządzić prowizoryczną statystykę, któraby sięgała z pewnością dziesiątków tysięcy. Należałoby przedewszystkiem podjąć tę sprawę na forum dyplomatycznym—oraz rozagitować ją odpowiednio w społeczeństwie, które wtedy będzie mogło także rzucić na szalę swój głos w tej sprawie.



Pod sąd opinji.

Kardynał a żołnierz.

Notatkę poniżej przytoczoną czytamy w poznańskim tygodniku „Rzeczpospolita”.

Dzieją się często rzeczy, w które trudno uwierzyć nawet człowiekowi dobrze obznajmionemu z zakulisowemi praktykami naszych reżyserów politycznych. Ponieważ z taką właśnie rzeczą mamy tu do czynienia, zażądać musimy wyjaśnienia od osób, które, jak to wykazuje niżej opisane zajście, zawiniły; a wyjaśnienie jest tem konieczniejsze, że z chwilą przemilczenia sprawy spaść musi cały ciężar winy na osobę — Księdza Kardynała, Arcybiskupa Dalbora.

Posłuchajcie:

Wiadomo, że nasze szpitale wojskowe zaopatrywane bywają w książki i broszury przeznaczone dla chorych i rannych żołnierzy.

W jednym ze szpitali poznańskich znalazła się między innymi broszura Mereżkowskiego o Józefie Piłsudskim. Ze zgrozą przychwyciły tę nad wyraz piękną i wartościową książkę siostry miłosierdzia, albowiem nie mogły zrozumieć, jak można dawać żołnierzowi lekturę, która sławi wysokie zalety Naczelnego Wodza... Rada w radę: Udano się do ks. Kardynała Dalbora (!) z zapytaniem, czy książkę tę można dawać do czytania chorym żołnierzom. Sądziłby kto, że oczywiście człowiek na odpowiedzialnym i ściśle określonym stojący stanowisku kościelnym, odpowie: zwróćcie się miłe siostrzyczki z tem do władzy wojskowej,

której przecież podlegają żołnierze, albo jeżeli macie wątpliwości, poradzcie żołnierzom, aby przy pierwszej spowiedzi dowiedzieli się, czy książka nie jest na indeksie.

Sądziłby kto inny, że polak, patriota, dbały o wartość moralną armji polskiej, życzący sobie, aby każdy żołnierz znał, cenił i kochał swego wodza, odpowie: dajcie, mile siostry, książkę tę do czytania żołnierzowi.

Tymczasem —co odpowiedział domniemany Prymas Polski, ks. Kardynał i Arcybiskup Dalbor?

Otóż zabronił wyraźnie rozdawania wśród żołnierzy książki Mereżkowskiego o Józefie Piłsudskim!!!

Jak Ks. Kardynał swoje swoje stanowisko uzasadnił wobec siostr?—nie wiemy.

Jak je uzasadni wobec państwa polskiego, jak wobec polskiego społeczeństwa?—czekamy!

Milczeć tu nie wolno pod żadnym, a już najmniej pod pozorem własnego dostojństwa, albowiem

dostojństwo duszy żołnierza polskiego jest bodaj najważniejszel

Do odpowiedzi zobowiązany jest Ks. Kardynał wobec społeczeństwa, jeżeli nie chce, będąc pierwszym dostojnikiem kościoła katolickiego w Polsce, kopać przepaści między kościołem a społeczeństwem, jeśli do tegoż społeczeństwa się zalicza z przekonania i z postępowania.

Czekamy więc tej odpowiedzi!

Jeżeli ona zaś nie nastąpi w czasie najkrótszym, czy każdemu z nas nie stanie w oczach żywo sławny telegram holdowniczy Arcybiskupa ks. Dalbora do Wilhelma II? czy — z braku książek o Naczelnym Wodzu, że ich skąpi im bezprawnie Kardynał Dalbor, ma żołnierz polski wielbić cesarza Wilhelma zgodnie ze słowami holdowniczymi Arcybiskupa Dalbora?

W każdym razie milczeniem (jak zazwyczaj bywa) zbyć się nie pozwolimy, i jeżeli trzeba będzie, do tego powrócimy.

Tymczasem czekamy wyjaśnienia!



Rzeczy Różne.

Protest Związku Strzeleckiego.

W kilku pismach ukazał się przedruk nagłego wniosku posła Zamorskiego, zgłoszonego dnia 17.X.1920 r. na plenum Sejmu Ustawodawczego. Nie wchodząc w bieg tej sprawy w organach Sejmu, uważamy, że przedruk tego wniosku źle poinformował społeczeństwo o istocie organizacji „Związek Strzelecki” i uważamy za konieczne złożyć następujące wyjaśnienie:

Nieprawdą jest, jakoby władze wojskowe ostatnimi czasy zaczęły organizować Związek Strzelecki, natomiast prawdą jest, że Związek Strzelecki istnieje i rozwija się na zasadzie ustawy zatwierdzonej w roku 1919, dnia 17 listopada przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wojskowych. Nieprawdą jest, jakoby Związki Strzeleckie miały charakter bojówki partyjnej, natomiast prawdą jest, że Związki Strzeleckie dążą do rozpowszechnienia wśród najszerzego ogółu, bez względu na przynależność partyjną, wiadomości, potrzebnych dla skutecznej i umiejętnej obrony Ojczyzny i że w okresie najcięższym dla Państwa Polskiego (w sierpniu r. b.) Związki Strzeleckie oddały wszystkich zdolnych do noszenia broni członków swoich do oddziałów na front.

Nieprawdą jest, jakoby Związki Strzeleckie były organizacją polityczną, natomiast prawdą jest, że prowadzą wszędzie pracę obywatelską i kulturalną, zakładając czytelnie, kursy dla analfabetów, kluby wiejskie i robotnicze, Towarzystwa Śpiewacze i t. d., szerząc zdrowe zasady higieny wśród lud-

ności wiejskiej, oraz rozwijając działalność wychowawczą za pomocą ćwiczeń wojskowych, wykładów-instrukcji, jak również wydawnictwa odezw, książek i broszur. (Patrz: książeczka „Obrona Ojczyzny”, „Regulamin wewnętrzny” i inne).

Nieprawdą jest, jakoby organizacja Związków Strzeleckich była tajną, spiskową, natomiast prawdą jest, że Związki Strzeleckie działają zupełnie jawnie, że mają wszędzie lokale własne, powszechnie znane, że działalność ich podlega wszędzie ścisłej kontroli lokalnych władz wojskowych i politycznych i że odbywają zebrania na zasadach ogólnych dla stowarzyszeń.

Nieprawdą jest, jakoby Związki Strzeleckie były organizacją czysto wojskową, natomiast prawdą jest, że są organizacją obywatelską, mającą na celu przygotowawcze wykształcenie żołnierza-obywatela i ułatwienie w ten sposób władzom wojskowym tworzenia rezerwy wojskowej licznej, karnej, wyćwiczonej i spisanej szczegółowo w każdej miejscowości w odpowiednich księgach z potrzebnymi wojskowości adnotacjami.

Co do rzekomego zarzutu, że jesteśmy dalszym ciągiem „Strzelca” z przed wojny światowej, to z dumą stwierdzamy, iż rzeczywiście uważamy się za spadkobierców tej wielkiej idei twórców i kierowników dawnego „Strzelca”, która dążyła do zdobycia i utrwalenia Niepodległości Narodu Polskiego własnymi siłami, własną krwią, pracą i ofiarnością.

Zarząd: Wacław Sieroszewski, A. Lewandowski, T. Szubartowicz, Dr. K. Dłuski, T. Niedzielski, Malski, Tadeusz Kuhnke, Antoni Zwierzyński, Wł.

